

WALENTYNKI

– Dzisiaj są walentynki i jeśli chcecie wiedzieć, to dostałam cztery kartki! Trzy z serduszkami i jedną z misiem! – wołałam od progu.

Mama, zamiast zzielenieć z zazdrości, powiedziała:

– To pięknie, a teraz umyj ręce i siadaj do stołu.

Ale ja wykręciłam się od obiadu, no bo jak tu jeść ogórkową, kiedy w tornistrze leżą cztery walentynki? A na jednej z nich, tej najładniejszej, jest żółty miś z czerwonym serduszkami i taki oto wierszyk:

*Wyznam Tobie dziś w sekrecie
Lubię Cię jak nikt na świecie
Życzenia przesyłam przez misia małego
W dniu świętego Walentego.*

Jak się znajdzie taką walentynkę na ławce, to już przez cały dzień można myśleć tylko o niebieskich migdałach. Zresztą dzisiaj w naszej szkole wszyscy znajdowali albo podrzucali czerwone od róż i serduszek kartki. Jedna z nich wylądowała nawet na biurku naszego pana od historii. Mieliśmy nadzieję, że jak zobaczy siedzące na kominie dwa zakochane koty, których ogony układają się w zgrabne serduszko – będzie zachwycony. Może nawet przyjdzie mu do głowy, że nie wypada w walentynki robić kartkówki lub gnębić nas jakimiś pytaniami. Patrzyliśmy w napięciu, jak ogląda kartkę, a gdy uśmiechnął się pod nosem, odetchnęliśmy z ulgą. Ja od razu wiedziałam, że to się tak skończy, bo nasz pan od historii jest strasznie fajny. Co prawda jest bardzo, bardzo wysoki i ma ogniście rude, wiecznie zmierzwione włosy, a chłopcy ze starszych klas mówią na niego Płonący Wieżowiec, ale my go tak nie przezywamy. No, może tylko czasami. A jeśli chodzi o tę kartkę, to nasz pan pięknie za nią podziękował, a potem zapytał:

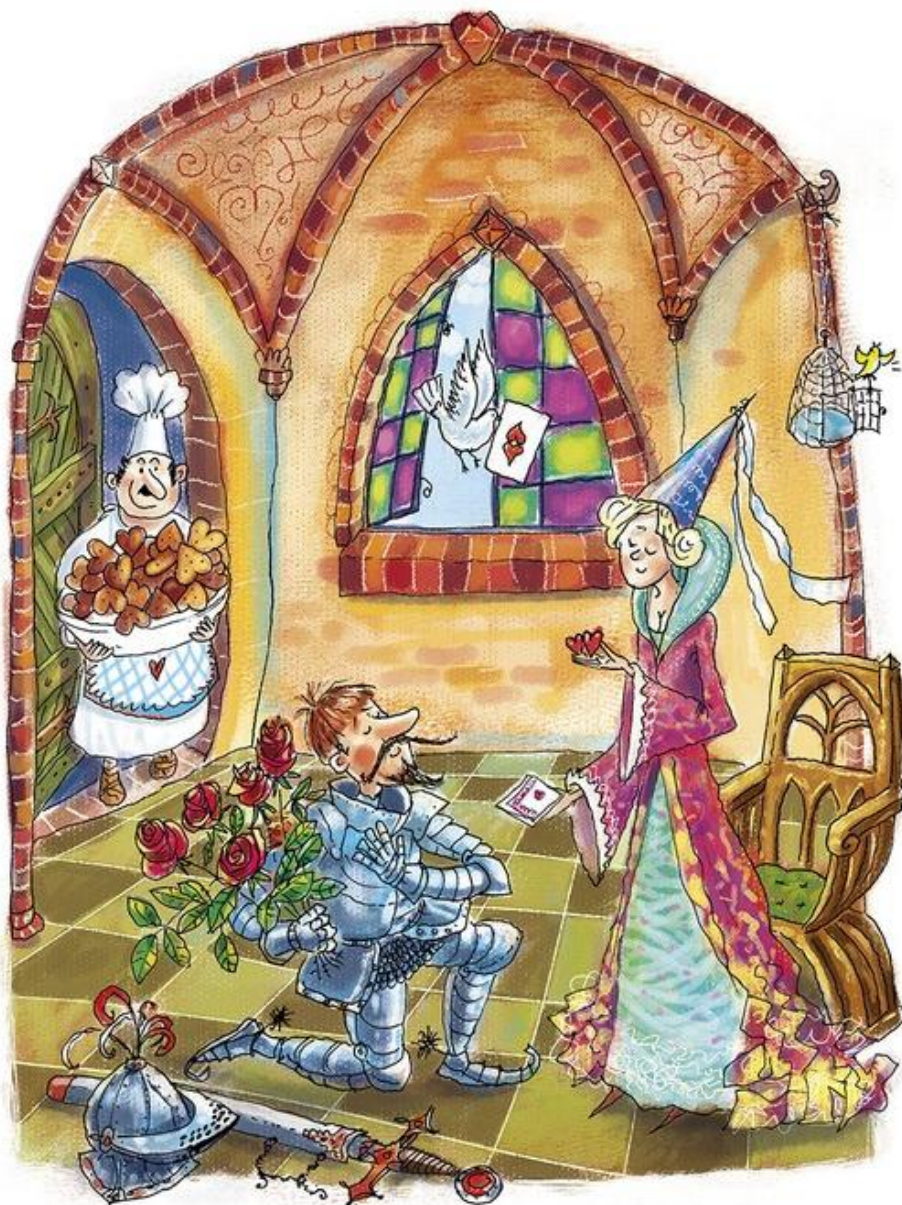
– A czy wy w ogóle wiecie, skąd wziął się ten zwyczaj i kto to był Walenty?

Ja wiedziałam tylko tyle, że im więcej kartek dostanę w walentynki, tym bardziej będą mi zazdrościły koleżanki, ale panu od historii chyba nie do końca o to chodziło. I jak zwykle, zaraz nam wszystko dokładnie wyjaśnił.



– Święto to zrodziło się w Anglii, na dworze Ryszarda Lwie Serce – zaczął. – Rycerze składali swym wybrankom śluby wierności i odnawiali je zawsze w dniu czternastego lutego. Tego dnia zdobiono komnaty, używając dużo czerwieni i złota. W powietrzu unosił się zapach ziół, a płonące świece ustawiano w wydrążonych dyniach. Układano bukiety z suszonych kwiatów i pieczono ciastka w kształcie serc nadziewane owocami. Damy otrzymywały od swych rycerzy drobne prezenty. Często była to broszka w postaci dwóch serc lub splecionych obrączek. One w zamian dawały pukiel włosów lub jakiś drobiazg zrobiony własnoręcznie, na przykład szarfę, chustkę czy rękaw. Taki rękaw podczas wypraw wojennych rycerz przypinał do swojej tarczy. Prezentem było też czasami lukrowane jabłko. Takie właśnie jabłko w ozdobionej perłami, hebanowej szkatułce ofiarował król Anglii Henryk VIII swej wybrance – jest to do dziś najszlachetniejszy walentynkowy upominek.

Nasz pan od historii opowiadał o tym wszystkim tak szczegółowo, jakby kiedyś razem z rycerzami w oparach pachnących ziół zajadał nadziewane ciastka i bawił się loczkiem swojej



wybranki.

– Natomiast na dworze króla Francji zrodziła się tradycja obdarowywania w tym dniu kobiet kwiatami – mówił dalej. – Nie myślcie więc, że to wy wpadliście na ten pomysł, bo już wieki temu w walentynki niejeden zakochany chłopak biegał z czerwoną różą za swą dziewczyną. Choć musicie wiedzieć, że samo słowo „walentynka” oznaczało początkowo

krótki wiersz lub komplement przesyłany liścikiem przez posłańca w dniu świętego Walentego. Za pierwszą walentynkę uważa się wiersz miłosny wysłany przez księcia orleańskiego do żony z okazji świętego Walentego. Wysłał go w 1415 roku z więzienia w Tower, w którym był osadzony. Teraz ta kartka jest przechowywana w Muzeum Brytyjskim.

– Ciekawe za co tam siedział? – szepnął za moimi plecami Piotrek, a Grzesiek, największy kujon i lizus w klasie, zapytał:

– A jak takie kartki wtedy wyglądały?

Nasz pan jakby tylko czekał na to pytanie.

– Na pewno nie były podobne do tych dzisiejszych. – Spojrzał na dwa koty na kominie złączone ogonami. – Dawniej zdobiono je w sposób zupełnie wyjątkowy. Malowano, wycinano, wytłaczano lub dziurkowano we wzory. Wykańczano koronkami i wstążkami, składano w przemyślnie kształty. Treść układano w formie rebusów lub starano się, by litery kolejnych wierszy były zgodne z imieniem ukochanej osoby. Niekiedy były to prawdziwe dzieła sztuki, złożone i ozdabiane klejnotami. Dopiero z biegiem czasu pojawiły się kartki drukowane, tanie i ogólnie dostępne, a dzięki poczcie łatwe w przesyłaniu. Dziś jednym kliknięciem wszyscy ślą sobie kartki elektroniczne, one jednak nie mają już tego uroku i taką walentynką trudno chyba zawrócić w głowie dziewczynie.

Moja z misiem jest lepsza niż te wszystkie z diamentami i koronkami razem wzięte – pomyślałam i po raz kolejny przeczytałam sobie pod ławką ten piękny wierszyk. Pan od historii niczego nie zauważył i opowiadał dalej:

– A z tym Walentym to była dziwna sprawa, historycy do dziś nie mogą się zgodzić, czy to był jeden człowiek, czy było ich kilku. Faktem jest, że był taki kapłan, który pomimo zakazu rzymskiego cesarza Klaudiusza udzielał potajemnie ślubów młodym ludziom. Ponieważ małżeństwo zwalniało ze służby wojskowej, mężczyźni mogli uniknąć w ten sposób poboru do wojska. To nie mogło się podobać cesarzowi i skazał Walentego na śmierć. Został stracony czternastego lutego, a młodzi ludzie wdzięczni za udzielenie ślubu, zaczęli świętować ten dzień jako dzień miłości. Inna legenda głosi, że Walenty pomagał prześladowanym chrześcijanom i za to został wtrącony do więzienia, a tam poznał i pokochał córkę więziennego strażnika. Wkrótce został stracony, a na pożegnanie zostawił dziewczynie list w kształcie serca, podpisany „Twój Walenty”.

Pan od historii mógłby o świętym Walentym opowiadać jeszcze do wieczora, ale właśnie zadzwonił dzwonek, kończąc naszą ostatnią lekcję. Wszyscy poderwali się z miejsc i przepychając w drzwiach, popędzili do szatni. Wszyscy oprócz Grześka, który jak zwykle o coś tam jeszcze dopytywał. Ja poleciałam do domu jak na skrzydłach i wcale nie byłam ciekawa, co takiego wyczyniał przed wiekami święty Walenty. W głowie miałam niebieskie migdały, a w tornistrze czerwone walentynki, ale czternastego lutego tak właśnie powinno być. Gdy po raz nie wiadomo który obejrzałam wszystkie moje kartki, a wierszyk recytowałam już z pamięci, doszłam do wniosku, że ta ogórkowa to jednak nie był taki zły pomysł. W kuchni, obok talerza z zupą, czekała na mnie niespodzianka – jeszcze jedna walentynka, tym razem w czerwonej kopercie.

– Zdaje się, że to do ciebie – powiedziała mama. – Znalazłam ją w skrzynce na listy.

Znowu straciłam apetyt i delikatnie otworzyłam kopertę. W środku była kartka, a na niej mierzył do mnie z łuku złoty amarek. Z drugiej strony był taki oto wierszyk:

Gdy Cię widzę, to się wstydzę

Gdy słyszę Twój głos

Czerwieni mi się nos

Więc tą kartką mówię

Że Cię bardzo lubię.

Pod spodem, zamiast podpisu, dwa słowa: „Twój Walenty”.

Wcale się nie zmartwiłam, że nie wiem, kim on jest, bo nie ma nic przyjemniejszego, niż



takie zgadywanie: komu, gdy słyszy mój głos, ze szczęścia rumieni się nos!